

Poznajcie Nieudacznicę

Przez ostatnie dziewiętnaście lat byłam pewna, że dam sobie radę. Nigdy nie myślałam o sobie, jak o kobiecie sukcesu. Bo sukces to duże słowo. Nie zarabiałam kokosów, zawsze trzeba było odmówić sobie czegoś, by mieć na zachcianki, typu wakacje itd. Ale odnosiłam wrażenie, że jestem taką, której jakoś się w życiu udało. Właśnie... Jakoś...

Cała historia zaczęła się ponad dwadzieścia lat temu, kiedy byłam jeszcze licealistką. Jak to bywało w przypadku wielu z nas, zakochałam się. Wtedy wydawało mi się, że w księciu z bajki. Sama byłam buntowniczką, szczerze wkręconą w subkulturę punkrockową. Koncerty i inne wypady... To było coś! Coś, co pozwalało nam wszystkim uciec od domowych i szkolnych problemów. Rzucić się w wir, wyznawanej przez nas, wolności oraz dziwnie pojmowanej anarchii. Wierzyliśmy w to, że najpiękniejszym obliczem świata byłyby otwarte granice i wino, stojące na ulicach w asyście dobrej muzyki. Wydawało nam się też, że rodzice nas nie kochają, nie myślą o nas, goniąc za pieniędzmi i zmagając się z problemami codzienności, która często nie była kolorowa, a może nawet ich przerastała. Uciekaliśmy więc z domów na wszelkie, możliwe sposoby, formując grupy ludzi ze zbliżonymi bólączkami. Było nam dobrze w stworzonych enklawach cierpień, w których nikt nas nie oceniał. Enklawach, w których sami sobie i sobie nawzajem pomagaliśmy, szukając wytłumaczeń i rozwiązań trudnych sytuacji. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że blakając się po parkach z winem w ręku, nierzadko powielamy problem rodzinny i mimowolnie wpadamy w jego sidła. Tylko, że mając piętnaście czy szesnaście lat, trudno było być obiektywnym czy też widzieć zagrożenia, wynikające z własnych poczynań.

Sama już teraz nie wiem czy znikanie z domu na kilka dni i nocy było rodzajem ucieczki od domowych kłopotów, czy raczej próbą zwrócenia na siebie uwagi. W każdym razie, wszystkie akty dezercji, odbijały się głównie na relacjach z rodzicami oraz egzystencji szkolnej. Owocowało to narastającymi konfliktami na płaszczyźnie rodzic – dziecko oraz powiększającymi się brakami w edukacji. Był to efekt wagarów, za którym szedł coraz większy strach przed wymagającymi nauczycielami (pomijając wielu towarzyszy buntu, byłam przecież uczennicą renomowanego liceum, którego absolwentką była moja, dobrze zarabiająca, mama) oraz narastającymi konfliktami z nimi. Fakt faktem, że większość z nich nie rozumiała nas – młodych i zbuntowanych. Zamiast rozmawiać z nami, zainteresować się naszą sytuacją, woleli nas gnębić i wpisywać w dzienniku jedynkę za jedynką. A może grono pedagogiczne nie było jeszcze wtedy dostatecznie przeszkolone czy wyczulone na utrapienia, z którymi zmagali się uczniowie? W każdym razie, my czuliśmy się zaszczuci, nierozumiani i chcieliśmy pokazać światu, że jednak coś znaczymy. Na różne sposoby. Niestety, w większości, były to działania nieudolne.

U mnie zaczęło się od wagarów z przyjaciółmi u koleżanki w domu, do którego wiadomo było, że rodzice nie powrócą aż do wieczora. Szkoła nie kontaktowała się wtedy z rodzicami zaraz po jednym dniu nieobecności, toteż nie musieliśmy się obawiać, że nasza absencja na lekcjach wyjdzie na jaw od razu. Spożywaliśmy więc niezliczone butelki taniego wina, paląc przy tym mnóstwo papierosów. Upojenie następowało szybko, więc niemalże od razu przychodziły nam do głów niedorzeczne pomysły, jak na przykład braterstwo krwi. U przyjaciółki na poddaszu, dopuściliśmy się tak durnego aktu w sześć osób, rozbijając butelkę po wypitym winie i szkłem z tejże butelki, rozcinając sobie dłonie, które potem łączyliśmy. Rana do rany. Krew do krwi. Tak, od teraz jesteśmy rodziną na zawsze. Bylibyśmy przecież idealną ro-

dzina.

Paradoksalnie, kilka z tych braterstw krwi pozostało do dziś. Jednakże te akurat braterstwa przypisuję zmaganiu się z podobnymi problemami rodzinnymi i zgodności charakterów. Z perspektywy czasu, widzę to czarno na białym, że byliśmy po prostu zagubionymi dziećmi, błędzącymi we mgle, która w żaden sposób nie chciała się przetrzeć. Bądź co bądź, myśleliśmy, że trudna sytuacja daje nam prawo do bycia dorosłymi. I owszem, bardzo chcieliśmy być dorośli. I w naszym mniemaniu byliśmy. A tak naprawdę to już nie byliśmy dziećmi, a jednak jeszcze nie dorosłymi. Można było nas nazwać takimi pseudo-dorosłymi. Charakteryzowała nas też szeroko pojęta wrażliwość i potrzeba czułości oraz miłości. Miłości, która przytrafiała się wtedy wszystkim często. I każdemu z nas wydawało się, że to jest ta jedna, jedyna do grobowej deski. Tak było również w moim przypadku.

Poznałam go podczas wypadu z kolegami do Kazimierza Dolnego. Cóż to był za szalony weekend! Mimo, że nie mieliśmy pieniędzy na nocleg (bo przecież każdy z nas nakłamał rodzicom, że to wyjazd ze szkoły), w plecakach tylko trochę jedzenia, zabranego z domu, a w kieszeniach skromne kieszonkowe, które szybko przetrwoniliśmy na tanie wino, cieszyliśmy się kolejną ucieczką od rodzinnych problemów i krótkotrwałą beztroską. Taką mieliśmy wtedy namiastkę tego naszego wyidealizowanego świata wolnych ludzi. Nie straszna była nam nawet nocna ulewa i spanie na rynku na „materacach” z tektury.

Przyjechałam tam z moim ówczesnym chłopakiem, który jednak szybko odłączył się od paczki, w poszukiwaniu innych wrażeń. I właśnie wtedy pojawił się On. Moja bratnia dusza. Moja druga połówka. Nasza znajomość szybko przerodziła się w miłość. Był dla mnie całym światem! Jediną osobą, która rozumiała mnie w każdym calu. On i ja. Ja i on. My przeciwko całemu światu. Czyli przeciwko rodzicom i szkole tak naprawdę. Nie liczyło się nic poza nami. Brnęliśmy więc w tę naszą idyllę, nie zważając na konsekwencje. Tylko, że idylla szybko okazała się utopią. Tak właśnie, będąc w drugiej klasie liceum, zaszłam w ciążę. Chociaż byłam gówniarą, cieszyłam się. Przez myśl nie przeszło mi nigdy, żeby się tej ciąży pozbyć. On też się cieszył. Rodzice? Moja mama chwilowo się załamała, ale szybko postanowiła mnie wspierać. Ojciec niestety znienawidził mnie na długo. Do momentu, kiedy noworodek ofiarował mu swój uśmiech. Od tamtej chwili aż do teraz jest jego oczkiem w głowie! A i ja jestem wreszcie ukochaną córką. Jego rodzice? Mama szybko przeszła nad tym do porządku dziennego i zaakceptowała sytuację. Ojciec? W zasadzie to nic go to nie obeszło. W rezultacie, oboje szybko okazali się oziębli. Latami nie interesowali się losami wnuczki.

Pamiętam, że wtedy zaszła w moim mózgu wielka przemiana. Wiedziałam, że to już koniec życia z dnia na dzień. Anarchistyczny sen o złudnym szczęściu rozmył się jak jasna akwarela, rozpuszczona w za dużej ilości wody. Miałam świadomość, że noszę w sobie człowieka, któremu muszę zapewnić dobry byt. Mimo, że uwałam jeden rok w liceum, było dla mnie jasne, że to nie koniec świata. Muszę teraz zatroszczyć się o swoją edukację, by w przyszłości należycie zadbać o moją pociechę. I trwałam w tym postanowieniu. On niestety pozostał Piotrusiem Panem.

Ja zdałam maturę, poszłam na studia. Nie byliśmy już wtedy razem, bo rok po urodzeniu naszego dziecka, uprzytomniłam sobie, że mój książę z bajki, zamiast szczęścia, tylko przysporzy nam kłopotów. Szybko zostałam więc samotną mamą. Matką bez ślubu, co w moim rodzinnym mieście było wtedy wstydem. Dzięki Bogu, nie dla mnie. Mając naturę buntownika, nie obchodziła mnie opinia publiczna. Zamiast podążać za stereotypem, że skoro jest dziecko, to musi być też ślub, wyrzuciłam z życia zbędnego pasożyta, a tym samym uchroniłam siebie i córkę od bardzo prawdopodobnej patologii i katastrofy emocjonalnej. Dużą rolę odegrała też tutaj moja mama, która kategorycznie sprzeciwiła się inicjatywie ślubu. Stwier-

dziła, że najpierw matura, potem studia, a na ślub przyjdzie czas. Jeżeli jesteśmy dla siebie stworzeni, to co za różnica czy pobierzemy się już teraz, czy później? I chwala jej za to, bo czas pokazał, że jednak nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

Było też spore grono tych, którzy patrzyli na mnie spod byka i nie byli życzliwi. Aż zacierali rękę, przepowiadając mi pasmo niepowodzeń oraz życie w skarajnym ubóstwie. W ich oczach siedemnastoletnia, samotna matka była w społeczeństwie spisana na straty i nie wrócono mi nic powyżej posady sprzątaczkii czy kasjerki w supermarkecie. Szczęśliwie, było też wokół mnie sporo przyjaznych ludzi, którzy wierzyli, że wcale nie muszę skończyć jako pracownik fizyczny z najniższą stawką krajową. Ludzi, którzy widzieli we mnie potencjał i przyklaskiwali mojej chęci pokazania rzeszy nienawidzących, że jednak jestem osobą, która coś znaczy i może się w życiu wykazać kreatywnością.

Mój dom zawsze tętnił życiem i przepełniony był owymi ludźmi, którzy kochali mnie i moją córkę. Ja kochałam też ich, a moja mała istotka ubóstwiała ich wszystkich. Nazwalismy ją nawet kiedyś cygańskim dzieckiem, bo nigdy nie było problemu, żeby została z którymkolwiek z moich przyjaciół, kiedy ja musiałam coś załatwić. Babcia i dziadek chętnie opiekowali się prawnuczką, kiedy ja byłam w szkole. Moi rodzice często dawali mi wieczorne wychodne, bym mogła pielęgnować relacje z przyjaciółmi. Z pomocą rodziny i przyjaciół, skończyłam studia, mając na wychowaniu córkę. Najpiękniejszą istotę na Ziemi. Fantastyczną, małą osobkę, która kochała mnie ponad życie, a ja ją. I tak sobie żyłyśmy, już wtedy w stolicy. Niestety wynagrodzenie za każdą pracę, której się podejmowałam nie było wystarczające do godnego życia. Gnieźdzenie się w kawalerce i comiesięczne pożyczanie pieniędzy od rodziców na wieczne nieoddanie, nie było szczytem moich marzeń ani super perspektywą na zapewnienie mojej córce odpowiednich warunków do prawidłowego rozwoju i nauki.

Wyemigrowałam do Londynu. Akurat wynikła sytuacja, że koleżanka poszukuje współlokatorki, nawet jeśli ta zapłaci jej za wynajem nieco później. Była to w sumie koleżanka koleżanki, ale poleciałam. Postawiłam wszystko na jedną kartę. I dobrze, bo owa koleżanka szybko została przyjaciółką i choć teraz widzimy się bardzo rzadko, obie wiemy, że zawsze możemy na siebie liczyć. Kocham tę wariatkę (teraz to już mamę dwójki wspaniałych chłopców i żonę fajnego gościa) do granic! Zostawiłam moją cudną latorośl z rodzicami na osiem miesięcy. Tyle zajęło mi stanięcie na nogi.

Bardzo szybko znalazłam pracę w gastro pubie jako kelnerka/barmanka. Można by stwierdzić, że poszłam na łatwiznę, przyjmując pracę fizyczną. Ale trzeba było przecież zacząć zarabiać i płacić rachunki, i w ogóle jakoś się utrzymać, coś odłożyć. Zepchnęłam więc ambicję na dalszy plan i zajęłam się organizowaniem środków na przyjęcie córki w nowym otoczeniu. Początkowo nie było mi źle, pracując jako barmanka i kelnerka. Nigdy wcześniej nie miałam z tymi zawodami do czynienia i był to w sumie fajny czas mojej egzystencji londyńskiej. Poznałam wielu interesujących ludzi, miałam okazję poznać wiele kultur i tradycji, bo grupa moich współpracowników była fascynującym europejsko-amerykańskim zlepkiem i w sumie to każdego dnia mogłam dowiedzieć się czegoś nowego.

W ciągu tych ośmiu miesięcy wdałam się również w związek z młodszym mężczyzną, który niby też bardzo czekał na przyjazd mojej córki. Niestety szybko okazało się, że nie tylko stał się o nią zazdrosny, ale wręcz rywalizował z nią o moje względy. Sytuacja nienormalna! Pozbyłam się więc tego pana z naszego życia. I żyłyśmy sobie znów same, we dwie. I była to fajna egzystencja.

Potem, jakby znienacka, pojawiły się wagary i inne, znajome mi z mojej młodości, problemy wychowawcze. Mimo, że wielokrotnie byłam już gotowa załamać ręce, walczyłam dalej. Trochę to trwało, ale doszłyśmy w końcu do porozumienia. Może nie tyle do porozumienia, co do tego, że konflikt pokoleń jest

rzeczą naturalną, ale starajmy się być dla siebie mimo wszystko. I wydaje mi się, że jesteśmy. Z ręką na sercu mogę powiedzieć, że mam piękną, inteligentną, mądrą córkę, którą kocham nad życie. Myślę, że ona też bardzo mnie kocha, chociaż czasami tego nie okazuje. Jednakże, patrząc wstecz na samą siebie, szczerze stwierdzam, że mam wielkie szczęście, będąc matką tak wspaniałego dziecka. Jest teraz świetną, przebojową dziewiętnastolatką, która się uczy i pracuje, pomaga mi. Czego chcieć więcej?

No, właśnie! Do listopada ubiegłego roku byłam w miarę szczęśliwą kobietą. Czy spełnioną? Niestety nie. Po pięć i pół rocznej przygodzie w gastronomii od strony operacyjnej, stwierdziłam, że dość już tego. Za stara jestem na bieganie z talerzami, nalewanie piwa i uśmiechanie się do wszystkich klientów i że mam już tego po kokardy! Rzuciłam więc tę pracę. Szczęśliwie na zdobycie kolejnej, już tej ambitniejszej, nie czekałam długo, bo jedynie cztery tygodnie.

Po prawie sześcioletniej przerwie powróciłam wreszcie do biura i nawet cieszyłam się z tego, że znów musiałam nosić wyprasowane bluzki z kołnierzykiem oraz pasujące do nich spódnice czy spodnie. Praca ta jednak, po kilku latach zaczęła mnie nudzić i zwyczajnie wkurzać. Szef - skąpiradło, nie dając krzty nakładów na promocję i reklamę, oczekiwał ogromnych obrotów. Czułam, że za każdym razem, kiedy mam pomysł na coś nowego, co pomogłoby interesom firmy, mam i tak związane ręce, bo szef nie wyda złamanego pensa. A nie oszukujmy się – bez wkładu finansowego nie da się zbudować dobrze prosperującego imperium. Trwało to kilka lat! Niemalże codziennie wysłuchiwałam lub odczytywałam e-maile z narzekaniem na niskie obroty. Nastał więc dzień, w którym rozstałam się z firmą. Moje pożegnanie... Piękna sprawa! Było bardzo emocjonalnie! Nie sądziłam, że moi współpracownicy aż tak mnie lubili. Kiedy opuszczałam po raz ostatni mury firmy, wręczyli mi kartkę, zapisaną zabawnymi, ale jakże miłymi wyrazami szacunku. Do tego butelka drogiego szampana i whiskey! Czytając wpisy na kartce pożegnalnej w metrze, płakałam. Obcy ludzie pytali mnie czy wszystko ok? Wiedziałam, że mojego zespołu będzie mi najbardziej brakowało w życiu zawodowym. Dwa dni później odbyło się moje oficjalne pożegnanie w jednym z londyńskich klubów. Fantastyczna impreza! Wszyscy zgodnie stwierdzili, że takiego pożegnania w tej firmie nie miał jeszcze nikt i za nikim nie będą aż tak tęsknili. Cudowna noc, nie przeczę! Ale co potem?

Potem była dorywcza praca, grubo poniżej moich kwalifikacji i bez żadnych perspektyw na rozwój zawodowy. Tuż przed Bożym Narodzeniem pożegnałam się więc i z tą firmą. Święta, potem Sylwester. Przybyli do nas na ten czas moi rodzice. Piękne dwa tygodnie! Czułam wspaniałą moc domowego ogniska. Wspólne gotowanie, grubaszenie się na kanapie, oglądanie filmów, spacer, wielogodzinne gry w karty... Ale wyjechali z początkiem stycznia. A dla mnie rozpoczęło się piekło!

Setki wysłanych CV bez odzewu. Jak był odzew, to zaraz po interview była kłapa. Zdziwiające jest to, że większość osób, które prowadziły ze mną spotkania rekrutacyjne, miało koszmarny angielski i naprawdę było dla mnie nie lada wysiłkiem, żeby ich zrozumieć. Nie będąc narcyzem, a siłąc się jedynie na obiektywizm (zawsze patrzę na siebie surowym okiem), mój angielski jest naprawdę bardzo dobry, więc pomyślałam, że skoro tacy, którzy mówią dużo gorzej niż ja, siedzą na dość wysokich stołkach w firmie, to w końcu i mnie się uda.

Cały styczeń nie załamywałam się jeszcze. Do lutego jakoś się psychicznie trzymałam. „Nie ta praca, to inna.” – myślałam sobie po każdej rozmowie rekrutacyjnej, kończącej się niepowodzeniem i jeszcze się tak strasznie nie bałam o przyszłość. Tylko, że luty rozpędził się niemiłosiernie, a nikt nadal nie chciał mnie zatrudnić. Zaczęłam cierpieć na bezsenność. Jak już usnęłam na chwilę, wszystkie sny były koszmarami... Poczułam, że życie ucieka mi przez palce i to w zastraszającym tempie! Życie, które kiedyś ko-

chałam, nagle stało się jak guma do żucia, która dawno straciła swój smak. Monotonne, bezbarwne i przygnębiające. Co robić dalej? Są dziesiątki rozmów o pracę, z których potem nic nie wynika. I sama już nie wiem co robić... Dotarłam więc do punktu, że jednak w tym moim życiu nawet JAKOŚ sobie nie radzę... Po latach wzniesień i upadków uświadomiłam sobie, że jednak jestem nieudacznicą. Jestem kimś zbędnym na rynku pracy. Jestem też kobietą nieatrakcyjną pod żadnym względem, z którą nikt nie chce nawet wyobrazić sobie wspólnej przyszłości.

Pamiętam, jak pod koniec grudnia, z wielkim utęsknieniem wyczekiwałam końca roku, mając nadzieję, że nadchodzący okaże się o stokroć lepszy. Miałam noworoczne postanowienia: będę mieć lepszą pracę, zadbam o swoje zdrowie i urodę, będę mieć faceta, który da mi szczęście. I co? Wszystko to o dupę po tłuć! Ani lepszej pracy... Ba! Póki co, żadnej pracy, w związku z czym, dbanie o zdrowie i urodę też nie odniosło sukcesu, ani żaden adorator nie kręci się wokół mnie. Co gorsza, nawet cienia adoratora nie widać na horyzoncie. Utknęłam w trybach jakiegoś cholernego, błędnego koła. Nie ma pracy, więc nie ma kasy. Nie ma kasy, są więc ograniczone środki na zdrową dietę, co za tym idzie, brak energii do uprawiania sportu. Nie ma kasy, nie ma też wyjść ze znajomymi chociażby do pubu na piwo. Brak więc okazji do poznawania nowych ludzi. A książę z bajki nie zjawi się przecież magicznie znikąd, stukając do moich drzwi. I tylko czasu jest dużo. Czasu, którego nie da się konstruktywnie spożytkować. Bo nachodzą mnie coraz bardziej ponure myśli i bezustannie panoszą się po umyśle. W większości takie, że do niczego się nie nadają. Czyżby moi nieprzyjaciele sprzed lat mieli rację? Że samotna matka nie da sobie w życiu rady? Nie chcę tak myśleć. Nie chcę w nieskończoność pielęgnować, pogłębiającej się z dnia na dzień, depresji. Nie chcę się poddać i dać tym wszystkim, którzy nawet teraz już pewnie o mnie zapomnieli, satysfakcji. Ale co robić? Co będzie dalej? Nie wiem. Będę relacjonować.

Nieudacznica

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Skorek80, dodano 21.04.2017 09:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.